

Gontarczyk, Piotr / Tomaszewski, Jerzy

[Z dużym zainteresowaniem przeczytałem recenzję mojej książki o zajściach w Przytyku (9 marca 1936) pióra Jerzego Tomaszewskiego...]

Przegląd Historyczny 93/1, 137-138

2002

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

L I S T Y D O R E D A K C J I

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem recenzję mojej książki o zajściach w Przytyku (9 marca 1936) pióra Jerzego Tomaszewskiego, opublikowaną w numerze 2 „Przeglądu Historycznego” z 2001 r. Muszę jednak stwierdzić, że nie podzielam większości zaprezentowanych w niej opinii.

Najpoważniejszą próbą polemiki z głównymi ustaleniami omawianej książki był następujący fragment: „Autor zamierzał udowodnić, że »zajścia przytyckie nie były żadnym pogromem Żydów, bowiem ich natura jest bardziej skomplikowana i niejednoznaczna«. Figlarne to zdanie sugeruje, że pogrom jest zjawiskiem nieskomplikowanym i niejednoznacznym — po prostu biją Żydów — — Tymczasem każdy pogrom, czyli żywiolowe wystąpienie tłumu wzburzonego konkretną przyczyną — — i wywierającego zemstę — — na grupie ludzi należącej do mniejszości, choć niekoniecznie narodowej, ma złożone podłoże. Trudno sobie przecież wyobrazić, by gromada ludzi rzuciła się na swych bliźnich z morderczymi instynktami, ot tak sobie, dla rozrywki, bez żadnej przyczyny, choćby były nią najzupełniej fantastyczne wyobrażenia. Jeśli przyjmiemy sugestię zawartą w tym zdaniu, stwierdzić by należało, że pogromy nigdy się nie zdarzały. Jeżeli ją natomiast odrzucić jako bezzasadną, wówczas dopiero należałoby udowodnić, że w Przytyku pogromu nie było, a jedynie »wojna Polaków z Żydami«, jak głosiła endecka propaganda — — Dowodu takiego brak, Piotr Gontarczyk nie próbuje przedstawić własnej definicji, czym jest pogrom, a więc podstawowa teza książki zawisła w powietrzu — — Nie sądzę zresztą, by udało się sformułować definicję pozwalającą jednoznacznie rozgraniczyć pogromy od innego rodzaju zająć” (s. 259–260).

Przed wszystkim warto wyjaśnić, że celem mojej pracy była dokładna rekonstrukcja zająć w Przytyku, a nie tworzenie „własnych definicji pogromu”. W ten sposób udało się uniknąć fałszywej alternatywy, postawionej przez tekst Jerzego Tomaszewskiego — nie stoimy bowiem przed wyborem pomiędzy wersją „pogrom Żydów”, będącą powtórzeniem jednej z tez przedwojennej propagandy, a wersją „wojna polska–żydowska” — jak pisali „endecy”. Zbadanie dostępnych źródeł i rekonstrukcja wydarzeń umożliwiły zbliżenie się do zupełnie innej odpowiedzi, najczęściej nazywanej prawdą historyczną. Ponadto jestem zdania, że badania naukowe nie powinny opierać się na negowaniu czy też potwierdzaniu istniejących już opinii, tylko na próbach ustalenia „jak naprawdę było”.

I tak, kompletując źródła, odnalazłem motywy wyroku Sądu Okręgowego w Radomiu, przed którym stanęli uczestnicy zająć przytyckich. Z dokumentu tego wynika, że nim doszło do napaści na żydowskich mieszkańców miasteczka (co do definicji tego wydarzenia możemy być nawet zgodni), to polscy chłopcy pierwsi byli obiektem zbiorowej agresji. Nim zaatakowano Żydów, jeden Polak był już zabity, kilku odniosło rany postrzałowe, a wielu innych — w tym kobiety i dzieci — zostało pobitych i poranionych. Wspomniany trybunał orzekł: „zgrupowana pod domami ulicy Warszawskiej i tzw. »ściankach« ludność żydowska dopuściła się na uciekających włościanach czynnej napaści, obrzucając ich kamieniami i bijąc żelazami i pałkami oraz używając broni palnej, co spowodowało akcję obronną ze strony napastowanych, nieposiadających broni włościan” („Pogrom?”, s. 102). Czy ten fragment wydarzeń możemy nazwać „pogromem Żydów”? Fundamentem moich zastrzeżeń do powyższego określenia nie były zawłości definicyjne, stanowiące temat rozważań Tomaszewskiego. Chodziło o to, że definicja „pogrom Żydów” nie oddaje istoty tego, co 9 marca 1936 stało się w Przytyku. Głównie dlatego, że mamy tu do czynienia nie z jednym, a z dwoma przypadkami zbiorowej agresji. Zapropo nowałem więc terminy „zajście” i „konflikt” jako bardziej adekwatne i pozbawione emocjonalnych skojarzeń. Ich użycie znajduje pełne uzasadnienie w faktografii zaprezentowanej w omawianej książce.

Nieco dalej Jerzy Tomaszewski uczynił mi zarzut z faktu, że zrezygnowałem z wykorzystania licznych, a określonych przeze mnie jako mało wartościowych, książek zagranicznych: „Niezależnie od tego, że owa generalna ocena jest błędna i świadczy o niedostatecznej znajomości historiografii zagranicznej, tak aprioryczny stosunek do literatury nie wydaje się racjonalny z punktu widzenia metodologicznego” (s. 260).

To, co autor uznał za słabość książki, inni traktują jako jej zaletę. W przypadku badań cząstkowych wartościowe są te prace, które powstają na bazie dokumentów z lokalnych archiwów, a nie te, które opierają się na dorobku innych historyków. Szczególnie jaskrawo widać to wtedy, kiedy wspomniani historycy pracują na innych kontynentach, a lokalnych archiwaliów nigdy nie oglądali. Tak jest właśnie z literaturą obcojęzyczną (głównie amerykańską) dotyczącą sprawy przytyckiej. Powstała ona niemal wyłącznie na podstawie trzech rodzajów źródeł: doniesień prasy, późniejszych relacji i zideologizowanych prac z czasów PRL. O braku wiarygodności tychże pisałem wielokrotnie, omawiając przy tym problem genezy podawanych tam informacji (s. 2–19, 105–114, 122–136). Skoro więc odrzuciłem powyższe źródła, musiałem odrzucić literaturę obcojęzyczną, która na ich podstawie powstała. „Nieracjonalnie z metodologicznego punktu widzenia” postąpiłbym wtedy, gdybym zaczął z niej korzystać.

Zwracam również uwagę, że opublikowałem w książce dwa typowe przykłady prac powstałych w Izraelu i USA: hasło z „Encyclopaedia Judaica” (s. 366) i fragment książki pamiątkowej Żydów radomskich (s. 360). Opisałem ich typowe mankamenty. Zważywszy na to, a także na omówione wcześniej względy nie zgadzam się z twierdzeniem, jakoby literaturę zagraniczną odrzucił *a priori*. Zrobiłem to z uzasadnionych naukowo względów i *post factum* — a nie *a priori* — co zmienia postać rzeczy.

Wiele innych opinii Jerzego Tomaszewskiego nie zostało popartych argumentami. Nazbyt ogólnikowo — jak sądzę — recenzent napisał o moich ustaleniach: „mogą wprawdzie denerwować niejednego czytelnika i skłaniać nawet do zakwestionowania solidności autora, we mnie wywołują natomiast rozbawienie” (s. 259). Po takich zarzutach należało niezwłocznie wyliczyć i obalić kwestionowane („denerwujące”, „zabawne” lub „figlarne”) twierdzenia. Dam przykład. Jeżeli ja omawiałem w książce wcześniejsze publikacje, to zgłaszałem w stosunku do nich konkretne zastrzeżenia. Na przykład w wypadku „Najnowszych dziejów Żydów w Polsce (w zarysie do 1950 roku)” pod redakcją Jerzego Tomaszewskiego zacytowałem trzyzdaniowy opis sprawy Przytyku, wyliczyłem znalezione tam pięć błędów merytorycznych i wskazałem na ich przyczynę (s. 15 i 135; czyżby stąd też emocje?). Przez analogię: jeśli recenzent uważał, że zdeformowałem jego wypowiedzi, to należało przytoczyć oryginał, mój komentarz i wyjaśnić, na czym owa deformacja polega. Niestety, opisywanie własnych reakcji emocjonalnych — w miejsce argumentów naukowych — nie pozwoli mi na nadrobienie braków czy też skorygowanie popełnionych błędów. Jerzy Tomaszewski pisze ponadto: „Nie jest bowiem tak, że Piotr Gontarczyk jest pierwszym sprawiedliwym, który przyszedł robić porządek w Sodomie, zwanej polską (i światową) historiografią” (s. 260). Ależ oczywiście, że nie i przy uważnej lekturze mojej książki można w niej odnaleźć pozytywne wzorce. Na przykład artykuł Reginy Renz, opublikowany w 1988 r. w „Biuletynie Żydowskiego Instytutu Historycznego”. Jestem omylny i mogłem popełnić błędy, co recenzent bardzo trafnie zauważył w przypadku liczby Żydów–mieszkańców woj. kieleckiego. Od siebie dodam nawet, że już po wydaniu mojej pracy sam znalazłem kolejne uchybienia. Na stronie 135 jest błąd w tytule wspomnianej tam książki, a na stronie 44 autorkę innej pracy nazwałem „Marią Natkowską”, a powinno być: „Monika Natkowska”. W innych miejscach brakuje kilku przecinków i jednej kropki. Nie sądzę jednak, by tego rodzaju błędy podważały wiarygodność głównych ustaleń książki.

Wiele innych twierdzeń Jerzego Tomaszewskiego także budzi wątpliwości. Najpierw autor zarzucił mi, że nie próbowałem stworzyć definicji pogromu, a zaraz potem napisał, iż jej się stworzyć nie da (patrz: cytaty na początku). Potem zbagatelizował albo pominął milczeniem zarzuty postawione przeze mnie innym publikacjom, a z drugiej strony o mojej książce pisze: „dostrzegłem nawet błąd gramatyczny (s. 69)”. Sprawę potraktowałem poważnie i wspomnianą stronę oddałem do analizy dwojgu polonistom. Zgodnie orzekli, że żadnego błędu gramatycznego tam nie ma. Dodam również, że kategoryczność opinii wyrażanych w omawianej recenzji na ogół nie idzie w parze z ich trafnością: „autorowi obce są zasady naukowej edycji dokumentów; nie podaje ani gdzie się znajdują (informacje we wstępie nie wystarczają), ani jaki mają charakter („oryginał, kopia czy też minuta”, s. 260). Wszystkie dokumenty, które opublikowałem, posiadają stosowne noty edytorskie. Są one znacznie bogatsze, niż mogłoby to wynikać z postulatów Tomaszewskiego.

Mój recenzent zakończył tekst uwagami o moim polemicznym stylu pisania: „Zapewne autor się zdziwi, a może nawet oburzy, gdy powiem, że przypomina mi nieco styl polemik Karola Marksa z przeciwnikami politycznymi oraz ideologicznymi” (s. 261). Jerzy Tomaszewski jest w błędzie — sięgnięcie po Marksa nie było dla mnie żadnym zaskoczeniem. Jednak dorobek wspomnianego filozofa jest mi na tyle obcy, że do podejmowania dyskusji na tej płaszczyźnie jestem niekompetentny. W takich sytuacjach zawsze z uwagą i wdzięcznością przyjmuję opinie niekwestionowanych autoritetów.

Piotr Gontarczyk